Rocznik II. Kraków, 1 marca 1900. Numer 3.

SKARBNICA

pismo miesięczne

popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:

Ks. Marceli Dziurzyński.

Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:

Przedpłata roczna wynosi w **Austryi**: **5** koron (**2** złr. **50** ct.), **półroczna**: **2** korony **50** hal. (**1** złr. **25** ct.). **W Niemczech** na rok: **5** marek. — **W Ameryce** rocznie: **1½** dolara.

Każdy, kto składa z góry **całoroczną** przedpłatę otrzymuje jako bezpłatną premię: **Kalendarz** ścienny.

Adres:

Redakcya *Skarbnicy* **w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

NAKŁADEM WYDAWCY.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.

1900.

NOWY DZWONEK

pismo ludowe

podające: **wiadomości polityczne i społeczne, kronikę kościelną, nowiny i rozmaitości.**

Wychodzi rok ósmy w Krakowie, **dwa razy** w miesiącu. t. j. dnia 1-go i 15-go.

Przedpłata na ***Nowy Dzwonek***
wynosi:
rocznie: 5 koron (2 złr. 50 ct.) — **półrocznie: 2** korony **50** hal. (1 złr. 25 ct.)

Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się.

Adres do przesyłania przedpłaty:
Redakcya ***Nowego Dzwonka***
w **Krakowie**, ulica Basztowa L. 4.

Mieliśmy chęć dawać w każdym numerze *Skarbnicy* $2^1/_2$ arkusza druku, czyli 20 kartek — ale pokazuje się, że szkoda u nas dobrych chęci, szkoda pracy i zdrowia. Jakkolwiek bowiem pracujemy w duchu szczerze katolickim, nie mamy należytego poparcia i nie zgłosiło się tylu prenumeratorów na *Skarbnicę*, byśmy mogli dawać każdy numer o 20 kartkach druku. Musimy się tedy ograniczyć na 16 kartek, czyli na dwa arkusze druku. Nie nasza to wina.

Rok II. Kraków, 1 marca 1900. Numer 3.

SKARBNICA

pismo popularno-naukowe i powieściowe
wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Przedpłata wynosi:

w Austryi: na rok **5** koron (2 złr. 50 ct.) na pół roku **2** korony **50** hal. (1 złr. 25 ct.) — Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się. **W Niemczech:** na rok **5** marek. — **W Ameryce:** rocznie **1**$^1/_2$ dolara. **Adres** do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy" w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**
Każdy, kto składa z góry **całoroczną** przedpłatę, otrzymuje jako bezpłatną premię: **Kalendarz** ścienny.

Na łaskawym chlebie.

I tak i owak wykręca się człowiek przed własnem sumieniem, kiedy coś zrobi nie tak, jakby należało, ale niechnoby tylko lepiej i głębiej rozpatrzył się w sobie i w Bożym świecie, a snadniejby się przekonał, że byle mieć moc nad sobą, a wolę silną i poczciwą, to zawsze przyjdzie człowiekowi łatwiej zrobić dobrze niż źle.

Nieszczęściem przecież, że do złego zawsze ciągnie jakoś człowiek, albo jakaś pokusa, albo jakiś interes i korzyść światowa, a za dobrem przemawia tylko głos sumienia, albo bojaźń gniewu Bożego.

Doświadczył tego najlepiej Franciszek Gwizdoń z Ubyłowic, co dwa razy był w gromadzie wójtem, a gruntem i dobytkiem wyrównywał największym bogaczom na całą wieś.

Uczciwie i pracowicie przeżył długie lata i Bóg szczodrą ręką błogosławił mu we wszystkiem. Najstarszy syn pracował przy ojcu i sprowadził synową do domu; dwie córki wyszły za dostatnich synów gospodarskich i opływały we wszystko.

Jednego razu Gwizdoń, po ciężkiej pracy zamyślił się okrutnie i rzekł sam do siebie:

— Mocny Boże, po cóż ja się tak trudzę i mozolę; siódmy krzyżyk dochodzi, siły upadają, człek się chyli ku ziemi,

a tu, dzięki Bogu i wypocząć przy czem i pracować jest komu na gruncie. Czasby już pozwolić spoczynku, a oddać się ze wszystkiem chwale Bożej.

Otóż jak zaczął tak przemyśliwać i dogadywać, to, nic nie mówiąc nikomu, zaraz nazajutrz posłał po pisarza i urząd gromadzki, sprowadził swych zięciów, synów i synowę, sąsiadów i znajomych i tak do nich przemówił:

— Starość nie radość, moi mili! Człek, choćby chciał sam siebie oszukać, to widzi, że już nie domaga, i już tam rękom nie do ciężkiej pracy, a siłom do niewielkich niewczasów. Darmo się upierać, trzeba ustąpić miejsca młodszym a raźniejszym. Przy pomocy Boskiej uzbierało się uczciwie i godziwie trochę darów Bożych, chcę to rozdać między dzieci, niech zabiorą to wszystko, a mnie tylko do śmierci dadzą chleb łaskawy.

I jak powiedział, tak też zrobił zaraz.

Nie zważał na żadne rady i przedstawienia. Grunt, chałupę i całe gospodarstwo zapisał synowi, córkom porozdawał resztę wiana i ogołocił się ze wszystkiego, zamyślał sobie resztę życia przesiedzieć spokojnie na „łaskawym chlebie“ wyposażonych hojnie dzieci.

I pierwszych kilka tygodni, a nawet parę miesięcy przeszło staremu tak jakoś szczęśliwie, że ani się opamiętał, że już nie jest sam sobie gospodarz, ale osiadły u dzieci na łaskawym chlebie.

Przemieszkiwał kolejno to u jednej, to u drugiej córki, to wreszcie u syna i tak miało być aż do śmierci.

Ależ nie tak to najczęściej na świecie idzie, jakby należało i Bóg przykazuje. Nagle, ni ztąd, ni zowąd, staremu Franciszkowi zaczęło się powodzić inaczej,

Dzieci przywykły powoli do gospodarstwa i jakoś im się nie zdawało dziwnem, że ojciec nie kazał im czekać na śmierć swoją, ale jeszcze za życia wszystko oddał.

I jakoś od czasu do czasu stary coraz lepiej widział, że nie jest już gospodarzem i panem domu, jeno komornikiem.

I byłoby to jeszcze pół biedy, ale wie o tem każdy, że złe nie przychodzi nigdy samo, zawsze jakoś drugie i trzecie wlecze za sobą.

Obie córki miały stare świekry, a dobrze to mówią, że przed złą świekrą to sam djabeł kopyta pogubi i da drapaka, że aż się za nim zakurzy.

Powoli zaczęły sobie baby rozpuszczać języki i dalejże staremu dokuczać, rzucać w oczy to tem, to owem, przycinać

tak i owak. I codzień staremu było coraz markotniej, a ciężki smutek zaczął mu jak robak toczyć serce.

Nie chodziło starowinie o to, że coraz większe musiał znosić niewygody, daleko ciężej trapiła go i frasowała niewdzięczność ludzka i stokroć jeszcze okrutniejsza niewdzięczność własnych dzieci. Bo choć mimo to wszystko syn i córki okazywali mu jeszcze poszanowanie, poznać przecież było łatwo, że kapka po kapce zaczęli sobie folgować coraz więcej.

Wszystko to gorzkim smutkiem napełniało serce starowiny, a jeszcze do tego i z innej strony spadały na niego rozmaite utrapienia.

Zaczął się przekonywać powoli, że odkąd puścił gospodarstwo ze swoich rąk, nie ma też już takiego jak dawniej zachowania w gromadzie. Chociaż niegdyś dwa razy wójtował we wsi, to go już teraz nie wołano ani do sądzenia spraw, ani też pytano o radę w interesach gromadzkich.

Ba! kiedy nawet przyszedł ostatnią niedzielę do karczmy na wybór przysiężnego, to stary Paweł Ciurak, co zdawna miał jakąś złość na niego, zawołał mu w żywe oczy:

— A tyś tu po co! tu tylko miejsce dla samych gospodarzy, a tyś żaden gospodarz, jeno komornik u swego syna.

Strasznie markotno zrobiło się staremu Franciszkowi, aż łzy zakręciły mu się w oczach.

Nie rzekłszy ani słowa, wyniósł się z karczmy i chwilę postał na drodze, pomyślał trochę, a potem westchnął ciężko i skręcił jakoś na drogę, która prowadziła do dworu.

Stary Franciszek radby się przed kim uskarżyć, kogoś się poradzić, a któż lepszy do tego, jak nie uczciwy pan, co mieszkał we dworze.

Już to wprawdzie nie było od kilku lat pańszczyzny, ale mimo to dobrze wiedział Franciszek, że pan zawsze jest ojcem gromady i że nikt lepiej i szczerzej nie poradzi od niego.

Dziedzic Ubyłowic był to jeden z tych prawdziwych panów polskich, co w włościanach swych nie widział poddanych, tylko dzieci przywiązane.

Do niego więc udał się Franciszek Gwizdoń w swojem ciężkiem utrapieniu. Aż rozbeczał się stary, kiedy skłonił się do nóg dobrodzieja pana i jął mu niedolę swoją opowiadać, jak chciał sobie wypocząć na starość, a tymczasem ściągnął na siebie tylko smutki i zgryzoty.

— I nie tyle chodzi tu o mnie, wielmożny panie — dodał — ale się boję, żeby dzieci moje nie posunęły się dalej w swej niewdzięczności, bo wtedy musiałaby na nich spaść

kara Boża, a toby mi okrutnie ciężyło na sumieniu, gdyby przezemnie Pan Bóg rozgniewał się na nich.

Pan wysłuchał do końca starego Franciszka i głęboko się jakoś zamyślił.

Naraz, podniósłszy głowę, uśmiechnął się wesoło i poklepawszy Franciszka po ramieniu, rzekł pocieszającym głosem:

— Ach! nie frasuj się stary, taka to już nieszczęśliwa natura ludzka, że często trzeba jakiegoś sposobu, aby ją przywieść na dobrą drogę. Pójdź do mej kancelaryi, napijesz się kieliszek dobrego wina, pogadamy sobie mądre słowo o dawnych czasach i jakoś ja tam zaradzę twojej biedzie. Franciszek Gwizdoń pokłonił się znowu dobremu panu i poszedł za nim, gdzie mu kazał.

Gwizdoń długo snać gwarzył z dziedzicem, bo dopiero po dobrej godzinie wracał do domu, a wracał, jakby o dziesięć lat odmłodniał, taki był rzeźwy, wesół i pocieszony. Uśmiechał się sam do siebie, a kiedy się zbliżał do wsi, zawołał półgłosem:

— Bodaj, to dobry dziedzic, to prawdziwy ojciec gromady; któżby tak mądrze i łaskawie poradził w niedoli.

A jak tylko przyszedł do domu, zwołał zaraz pod wieczór syna i obu zięciów z córkami i świekrami, wreszcie zwołał sąsiadów, wójta, pisarza i dwóch przysiężnych, czyli radnych z gromady.

Gdy się wszyscy zeszli w chacie, stary na kwitek pański posłał po kilka kwart piwa do karczmy, a potem siadł między nimi i ozwał się w ten sposób:

— Wiecie, że przez całe życie nie leniłem się do pracy i Pan Bóg mi błogosławił łaskawie. Dorobił się człek gospodarstwa uczciwego i wreszcie, nie wiele mówiąc, uciułało się trochę gotowego grosiwa.

— Gotowego grosiwa? — powtórzyli wszyscy zdziwieni.

Gwizdoń uśmiechnął się zlekka i tak dalej prawił:

— Nie wyjeżdżał ci tam człek z tem nigdy, żeby ludzie nie myśleli, że się przed nimi z pieniędzmi przechwalam, ale co się uzbierało powoli, to nie wymieniałem na same srebrne pieniądze.

— Na same srebrne pieniądze! — wykrzyknęli znowu wszyscy razem.

Starowina się znowu uśmiechnął, ręką sięgnął w zanadrze i tak dalej prawił:

Człek nie ma w domu dobrego schowku, a do tego boi się trochę, żeby go co nie skusiło naruszyć uzbieranej sumki, więc wszystko to zanosiłem do pana i u niego składałem.

— Gwałtu! a my o tem nic a nic nie wiedzieliśmy — zawołała jedna świekra, schwyciwszy się ze zdziwienia za głowę.

Nie zważając na to Franciszek prawił dalej:

— Do tego czasu pieniądze leżały u pana, ale coś mówią, że pan wybiera się za granicę, a daleka droga, to rzecz niebezpieczna. Od przypadku nikt nie wolny! Więc też dzisiaj poszedłem do pana i odebrałem wszystko.

To mówiąc, dobył Franciszek z zanadrza spory i ciężki worek, obwiązany sznurkiem i opieczętowany od góry.

Każdy wyciągnął rękę, aby choć pomacać skarb pożądany, a jedna świekra aż nos przytknęła do worka, jakby węchem chciała wciągnąć w siebie srebro. W worku brzęczały śliczne i ponętne pieniądze, a kto sięgnął palcami, to naprawdę namacał same srebrne sztuki.

Rzeknie też po chwili Franciszek:

— Rozdzieliłem grunt, dobytek i całe gospodarstwo pomiędzy dzieci, ale pieniądze schowam do śmierci, dopiero umierając rozdzielę je według tego, jak kto sobie najlepiej zasłuży. Tymczasem — mówił, zwróciwszy się do wójta — niech ten worek leży w schowaniu w kasie gromadzkiej, a jak Pan Bóg zeszle śmierć na człowieka, to już rozporządzę, jak obdzielić dzieci.

Jak chciał, tak się też stało w samej rzeczy. Wójt i przysiężni wzięli wór z pieniądzmi do kasy, a dopiero w ostatniej chwili miał Franciszek oznaczyć, co z niemi zrobić po śmierci.

Otóż trzeba było widzieć, jak odtąd zmieniło się wszystko w życiu starego. Wróciło dawne zachowanie u gromady, powiększyła się cześć u krewnych i sąsiadów, odżyła miłość dzieci.

A co świekry, to dopiero nie mogły sobie dać rady, aby we wszystkiem dogodzić staremu i przypodobać mu się wedle możności. Ptasiego mleka brakowało mu tylko od tej chwili, tak mu wszyscy nadskakiwali, pochlebiali, dogadzali i każdy spodziewał się w duchu, że stary nie zapomni o nim, kiedy będzie rozporządzać swym skarbem.

Sześć lat przeminęło w tym stanie, aż też nagle rozniemógł się śmiertelnie Franciszek Gwizdoń. Toż dopiero uwijali się wszyscy koło niego, nie odstępowali go ani we dnie, ani w nocy, i pielęgnowali jak najtroskliwiej.

Ale to już była choroba śmiertelna. Stary posłał po księdza, a zaledwo otrzymał rozgrzeszenie i przyjął Ciało i Krew Pańską, zamknął powieki. Przy spowiedzi miał powiedzieć księdzu, co począć ze skarbem pozostałym. Nie wiedzieć dlaczego

ksiądz na razie trzymał w tajemnicy i przyrzekł wyjawić rzecz tę dopiero po pogrzebie Franciszka.

Zaraz też na drugi dzień po pogrzebie zeszli się wszyscy, co byli wtedy, gdy stary wydobył swój skarb z ukrycia — wójt i przysiężni przynieśli z sobą wór opieczętowany, aby go oddać temu, komu umierający przekazał.

Wtem pojawił się też ksiądz Proboszcz.

— Moi mili! — rzekł poważnie i uroczyście — stary Franciszek, umierając, kazał wam podziękować za wszystko dobre, coście mu oświadczyli na schyłku żywota. Osłodziliście mu, ulżyli ostatnie ciężkie zazwyczaj chwile i Bóg wam to pewnie nagrodzi stokrotnie. Temci pewniej, żeście to wszystko robili nie z żadnej rachuby nieczystej, ale tylko ze szczerego serca.

— O jużci, jużci, księże Proboszczu — wołali wszyscy razem — któżby tam myślał o rachubach, uchowaj Boże!

— Dobrze, moi mili — rzekł ksiądz dalej — bowiem żaden uczynek nie ma u Boga znaczenia, jeżeli nie płynie ze szczerości i uczciwości serca, ale z rachuby, chciwości i innych pobudek nieczystych.

— Albożeśmy nie chrześcijanie, abyśmy tego nie wiedzieli — odpowiedzieli razem z niskim ukłonem.

A ksiądz na to znowu:

— Podziękujcie Bogu, że Franciszek Gwizdoń nie pozostawił po sobie żadnego majątku, bo inaczej ciążyłoby na was podejrzenie, któreby wam odjęło całą zasługę.

— Jakto! Franciszek nie zostawił żadnego majątku — wrzasnęła jedna świekra, nie mogąc wytrzymać dłużej.

Zamiast odpowiedzi, ksiądz wziął od wójta worek, oderwał pieczęć, rozwiązał sznurek i ze środka posypało się mnóstwo jakiś grubych blaszek okrągłych. Były to dawne znaczki od pańszczyzny, które ekonom dawniej rozdzielał co dzień po skończonej pracy, pomiędzy odrabiających się gospodarzy.

— Podziękujcie Bogu — zawołał uroczyście — że to prosta blacha bez wartości, a nie srebro, bo pozostają wam wasze dobre uczynki, które więcej znaczą dla duszy i wyżej stoją u Pana Boga, aniżeli wszystkie skarby całego świata.

I długo do nich przemawiał dobrodziej tak mądrze i łaskawie, że aż się wszyscy rozrzewnili, szczególniej dzieci zmarłego, płacząc na głos, w piersi się biły z żalu i z głębi serca dziękowały Panu Bogu, że za cześć i miłość starego ojca nie spadła na nich ziemska nagroda i zapłata, ale pozostała im nadzieja lepszej i trwalszej nagrody.

Wójt i przysiężni dorozumieli się jednakże zaraz, że to pan dziedzic z umysłu dał Franciszkowi ten worek ze znaczkami, aby tym sposobem zaradzić niedoli i utrapieniu starego Franciszka.

BARABASZ.

Było to w dzień starej Paschy, lat temu 1867. W jednym z najnędzniejszych mieszkań na zachodzie Jerozolimy, znajdował się człowiek dzikiego wejrzenia; brodę miał rozczochraną, odzienie w łachmanach, a wzrok jego przestraszał każdego.

Już cienie nocy zalegać poczęły nad miastem świętem, nad Górą Oliwną i nad Golgotą, na szczycie której sterczały trzy krzyże.

Przygnębiony zmęczeniem, a jednak niezdolny do użycia wypoczynku, nędznik ten przewracał się na swem posłaniu, na które się rzucił odziany cały. Od czasu do czasu we śnie wołał głośno!

— Precz! precz, Jezusie, synu Józefowy! Dlaczego wzrok swój ciągle na mnie zwracasz? Czyż cały lud, tak jest, lud cały nie wołał mnie nad ciebie? A przecież lud ma zawsze słuszność!

Zdajesz się wyrzuty mi czynić; oh, co za spojrzenie! Ale czyż nas obydwóch nie postawiono przed ludem: Jezusa, którego zwią królem i Barabasza złodzieja? Wszakże wszyscy krzyczeli: „Wypuście Barabasza, a ukrzyżujcie Jezusa Nazareńskiego!“ Czyż moją winą, iż lud więcej dbał o moją osobę, niźli o twoją!

Tutaj zbójca ten, przez lud uwolniony, wybuchnął dziwnym śmiechem:

— Uh! lud mnie lubi! mnie, opryszka, mordercę! Ja jeszcze znajdę przyjaciół na ziemi? ha, ha!

Potem z twarzy jego zeszedł ten śmiech przerażający, a oblicze jego zakryło się ciemnym smutkiem i wyrazem głębokiej rozpaczy.

— A jednak — mówił dalej — jednak byłbym wolał, żeby dla niego pospólstwo o łaskę błagało; przynajmniej dla mnie wszystkoby już było skończone, moje męki przerwane. Ah! wspomnienie jego ciągle mnie ściga! Tak, nieśli mnie oni w tryumfie, a teraz jestem sam jeden opuszczony. Jutro pójdę może za tymi, których teraz krzyżują!

— Ale, ale, przecież Jezusa ukrzyżowali, a nie mnie! Słyszałem, jak tłumy wołały na niego wskazując: Ukrzyżuj go!

— Ale cóż im ten Jezus złego uczynił? To dziwne: kochał ich, wspomagał, dobrodziejstwy obsypał, modlił się za nich i przebaczał im wczoraj jeszcze.

Z pewnością był dla nich za dobrym, więc dlatego go na śmierć skazali. A ja? Okradłem ich tyle razy, ile tylko mogłem; ja mordowałem ich krewnych, przyjaciół... Ja ich ciągle oszukiwałem... i za to mnie oni przekładają?

Ludu szlachetny! w zamian za to, co przeciwko tobie uczyniłem, ty mi wracasz wolność? Jesteś ludem szlachetnym, wolnym i oświeconym! Niech żyje Barabasz! Ah, co to za tryumf wczorajszy! — I znowu zaśmiał się okropnie.

Wstał z łoża i zaczął izbę przebiegać gorączkowymi krokami, raz po raz stawał przy oknie, a oczy jego padać musiały na trzy krzyże Kalwaryi. Naraz zatrzymał się i spoglądał na nie w milczeniu.

— Daleko mądrzej by było, gdybym to ja tam wisiał na górze, w miejsce tego cieśli niewinnego! Ah! nie mogę zapomnieć wzroku, jakim spojrzał na mnie Jezus Nazareński, gdy nas obu przed ludem stawiono! Ah! spojrzenie to zmięszało radość moją! Czyżbym ja miał czuć litość nad nim? Po raz pierwszy by to Barabasz płakał nad nieszczęściem niewinnego!

Ostatnie promyki dzienne oświecały w tej chwili twarz Barabasza i przedłużały cień owych trzech krzyżów; twarz Barabasza była ohydna: nos gruby i mocno zakrzywiony, oczy czarne, żarzące, policzki wystające, wszystko to razem z brodą rozczochraną tworzyło postać dziką i namiętną. A jednak, czasami w twarzy tej zabłysło coś, co przychylność wzbudzało; po za surowością, czytać było można pewną szczerość.

Barabasz usiadł nareszcie i z większym spokojem zaczął przeglądać ostatnie wypadki i wspomnienia dnia tego.

— Co za dobroć — mówił dalej — w tem spojrzeniu na mnie rzuconem! Nie było w niem wcale gniewu, wyrzutów, spojrzenie to przejęło mnie do głębi duszy; zdawało mi się, iż z oczu tych wychodzi światło, które przeobraża mój umysł, ciepło, co ogarnia całą mą istotę uśpioną, tak jak palący promień słoneczny. — Nie! nigdy nie doznałem podobnego uczucia.

Widziałem wiele wejrzeń pod groźbą sztyletu, wiele łez, ale nigdy podobnego spojrzenia!

Chwilami zdaje mi się, że mógłbym ukochać tego, którego oni ukrzyżowali.. Tak, Jezusie Nazareński, gdybyś żył jeszcze i gdybym do ciebie mógł przemówić, wtenczas byłbym

twym przyjacielem, a tybyś go nie odepchnął, a Barabasz stałby się innym człowiekiem...

I tak marząc Barabasz, z posłania swego zesunął się na ziemię i głowę ukrył w swych rękach zbrodniczych; długo tak siedział nieporuszony, nareszcie wybuchnął głośnym rykiem. Łzy rosiły twarz jego i długą brodę obficie! Nagle zapukano do drzwi. Barabasz zdziwiony powstał.

— Kto tam, tak późno?

Na progu stanęło dwóch ludzi, którzy pokornie o przytułek prosili.

— Kto jesteście? Po cóż przychodzicie o tej godzinie? Możeście jakie łotry? Nie bójcie się, ale nie zwódźcie Barabasza.

Barabasza?! Przed nazwiskiem tem dwóch nieznajomych się cofnęło i z trwogą jeden do drugiego się przytulił, ale już zapóźno.

— Nie oszukamy cię, ani nie zwiedziemy wcale — rzecze jeden odważnie — jeźli chcesz wiedzieć, kim jesteśmy, to się dowiesz, iż jesteśmy uczniami tego Jezusa, którego ukrzyżowano i wczoraj do grobu złożono; ścigają nas, więc opuściliśmy miasto, i szukamy przytułku na noc.

— Wy jesteście uczniami Jezusa? — rzekł zbójca. I nastąpiła chwila milczenia.

— A więc chodźcie — odrzekł nareszcie — dla miłości ku niemu.

I było ich teraz trzech w tem nędznem mieszkaniu, trzech zgromadzonych w imię Jezusa.

— Nie mogę wam nic innego, oprócz noclegu ofiarować; ale jesteście tutaj bezpieczni; lud was nienawidzi, ale za to kocha mnie; spocznijcie więc bez trwogi. Przedtem jednak powiedzcie mi, kto to był ów Jezus Nazareński; chętnie bym o nim coś usłyszał.

Żadne inne pytanie nie mogło spodobać się bardziej owym nieznajomym; mówić o Jezusie, to było ich pragnieniem; nie kazali się prosić, a słowa obficie tryskały z ust ich, opowiadając cudowne życie Mistrza; uważne słuchanie Barabasza podwajało ich gorliwość, opowiadali wszystkie cuda Chrystusa, a wśród tego apostołowania, noc coraz bardziej zapadała, a nikt nie myślał o spoczynku; przybyli nareszcie do opowiadania krwawej męki i opisali cierpliwość niczem niezachwianą na drodze krzyżowej, oraz sposób, w jaki obeszli się ludzie z tym, który im przyniósł zbawienie.

Barabasz słuchał z coraz to większą uwagą

— Wy wierzycie zatem, iż jest jeszcze inne życie?

— Bez wątpienia. Mistrz, który nie zwodził nigdy, mówił nam nieraz, iż będziemy żyć wiecznie.

— I wierzycie także, iż jest piekło?

— Jakże można o tem powątpiewać! Jezus, który nigdy nie zwodził, mówił nam o tym ogniu, który nigdy nie wygaśnie, o robaku, który nigdy nie umrze.

— Mówcie mi otwarcie, czy doprawdy macie wiarę w Jezusa?

— Tak, gdyż on jest Synem Bożym.

— On, Synem Bożym? — zawołał Barabasz głosem pełnym podziwiania i zarazem niedowierzania.

— Niezaprzeczenie; przyszedł On na ziemię, aby nas uwolnić od grzechu i zaprowadzić do nieba.

Nagle Barabasz zesmutniał.

— Było wielu innych, którzy się nazwali Synami Bożymi, pewnie więc ci byli oszukańcami? Ale przecież Jezus nie wyglądał jak oszukaniec — ja prawie także mógłbym uwierzyć, iż jest Synem Bożym.

— Jakiego dowodu chcesz jeszcze, abyśmy ci dali dla dowiedzenia prawdy?

Barabasz powstał, a podnosząc rękę ku niebu, jakby biorąc je na świadka, zawołał głosem silnym:

— Do uwierzenia tego, coście mi powiedzieli, żądam dwóch rzeczy: Jeżeli jest życie wieczne i jeżeli śmierć nie jest umarciem na zawsze, to Jezus musi zmartwychwstać. A jeżeli jest Synem Bożym, to niech okaże potęgę swoją i odpuści grzechy Barabasza. Słyszycie? Tak — rzekł, bijąc się w piersi — niech odpuści wszystkie jego zbrodnie. Jeżeli nie chce lub nie jest w stanie tego uczynić, to cóż może być wspólnego między mną, a nim. Lecz jeżeli żyw wyjdzie z grobu i jeżeli zdejmie ciężar niezmienny mych występków i wyrzutów, o, to wtenczas dni moje skończę, czołgając się za nim na kolanach; wtenczas go uczczę, uwielbię!

I nieszczęśliwy łotr we łzach się rozpływał.

— Oh, gdyby się tak stać mogło, gdyby to nie było snem tylko! O Jezusie, gdybyś ty był Bogiem i mógł mi przebaczyć!

Nagle ziemia zadrżała gwałtownie.

Barabasz i uczniowie przewrócili się, drzwi otwarły się same ze siebie, dom zatrzeszczał w swych posadach.

— Trzęsienie ziemi! — zawołali razem i wybiegli na dwór.

Tam jednak wszystko było spokojne; na niebie ukazała swe ognie najpiękniejsza jutrzenka, morze płomieni zwiastowało bliski wschód słońca; ziemia skąpana strumieniami światła, przepyszny przedstawiała widok. Był to poranek Wielkanocny.

* * *

Był to wieczór nowej paschy; — wzruszenie wielkie ogarnęło ludzi, ale niebo spokojne i czyste ukazywało ognie zachodzącego słońca tak piękne i jasne, jak jutrzenka tego dnia wielkiego.

Przechodnie z zwrokiem przybitym i trwożliwym, postawy surowej i kilka niewiast smutnych i z zasłoniętemi twarzami, zdążali pojedynczo do jednego z większych domów Jerozolimy. Sądząc z ich skupionej postawy, odgadnąć było można, że idą na wspólną modlitwę. I w istocie, był to ten wielki dom, do którego kolejno przybywali, gdzie w czwartek poprzedni obchodzona była ostatnia wieczerza.

Dwóch uczniów towarzyszyło człowiekowi, który w fałdach swej szaty starannie ukrywał twarz swoją, tak jak gdyby chciał ukrywać jakie znamię hańby. Ludzie ci weszli do bocznej izby, z której widok wychodził na krwią zalaną jeszcze Kalwaryę. Człowiekiem tym był Barabasz. Oświecony i pouczony o Jezusie Chrystusie ubłagał on swych gości, aby go wzięli ze sobą. W tej to sąsiedniej izdebce ukrył się on wraz z swymi nowymi przyjaciółmi, by dowoli przyjrzeć się Apostołom i uczniom tego, którego przed trzema dniami zamiast niego samego stracono.

Widok ten przejął go dreszczem trwogi, czy też szacunku i kiedy wszyscy uklękli, on także upadł na kolana, ręce jego się złożyły, a twarz ziemi dotknęła.

Drzwi były zamknięte, z obawy przed nieprzyjaciółmi Jezusa, i żaden głos z zewnątrz nie przeszkadzał modlitwie tych dusz boleścią zgnębionych.

Nagle dreszcz i szelest przebiegły po zgromadzeniu. Człowiek leżący twarzą na ziemi, podniósł oczy... Ale Barabasz nie śmiał uwierzyć temu, co wtenczas ujrzał. W pośrodku klęczących uczniów, otoczony majestatem nadludzkim, stał ten, który umarł na krzyżu i złożony został do grobu: Jezus Chrystus, Syn Boga żywego i Zbawiciel świata.

— To on, to on — szeptało kolejno całe zgromadzenie w uniesieniu — to on zaprawdę!

Jezus Zbawiciel był na środku izby, właśnie naprzeciwko

Kalwaryi; Barabasz był tam także, ale już nie tryumfujący nad zwycięstwem pospólstwa, lecz bijący się w piersi i szepczący: To on, to on; ten ukrzyżowany Jezus Nazareński żyje!

Bóstwo objawione rzekło:

— Pokój wam!

Słowa te wymówione głosem łagodnym, przeniknęły do głębi cały wieczernik i izbę przyboczną

— Mistrzu! — zawołali uczniowie w uniesieniu — Mistrzu, to ty!

— Tak, to ja! — mówiło dalej Bóstwo objawione i ukazywało się w coraz to wspanialszym blasku.

Członki jego i bok miały okrutne blizny, ale z ran tych wychodziły promienie cudowne, gdy podnosząc rękę swą rzekł: Pokój wam!

Kilku jednak zatrwożyło się, myśląc, iż mają przed sobą widmo. Ale Jezus, przenikając serca ich, rzekł:

— Dlaczego się boicie? Dlaczego te myśli? Dotknijcie się rąk i nóg moich, boku mego i patrzcie; przecież widmo nie ma ciała, ani kości, a przecież ja mam oboje

A gdy radość i zadziwienie nie schodziły z twarzy obecnych, odezwał się Chrystus:

— Czy nie macie co do jedzenia?

Zasiadł dzieląc z nimi posiłek i kosztując go z nimi.

Barabasz nie dotknął się ran Jego i nie dzielił z nim pokarmu, a jednak uwierzył.

I Chrystus wyrzucał Apostołom i Uczniom ich niewiarę i otworzył im rozum, wykładając pismo. Trzeba było, żeby Chrystus cierpiał i zmartwychwstał, aby wskrzesić drugich.

— A więc my także zmartwychwstaniemy?

— Wierzę, wierzę — mocno szeptał łotr Barabasz w izbie sąsiedniej, z którejby był rad wyszedł; ale wiedząc, iż jest niegodnym, pozostawał nadal w ukryciu, jednak wzrok Jezusa padał aż do serca jego, tak samo, jak przed trzema dniami, gdy żydzi wołali: Chcemy Jezusa Barabasza, ukrzyżuj Jezusa Nazareńskiego.

I Zbawiciel rzekł po raz trzeci:

— Pokój wam, tak jako mnie Ojciec posłał i Ja was posyłam

I zapanowało głębokie milczenie. Wtenczas to Zbawiciel pełen miłości, pochylił się nad Apostołami, którzy wiankiem wkoło stali i tchnąwszy na nich, rzekł:

— Przyjmijcie Ducha świętego: Tym, którym odpuścicie

grzechy, będą odpuszczone, a którym zatrzymacie, będą zatrzymane.

Na słowa te zadrżał zbrodniarz.

— Przebaczenie więc dane jest grzesznikom — zawołał w radosnem uniesieniu — Jezus dał przebaczenie, a nie uczynił wyjątku dla mnie, więc mogę zostać uwolnionym od mych zbrodni!

— Pokój wam! i spojrzał na mnie, a znalazłem pokój. Ja, morderca i przeklęty, mogę odzyskać niewinność? Barabasz może zostać zbawionym, przez Jezusa Nazareńskiego?

I kryjąc twazz w dłoniach, zaczął rozmyślać nad swem życiem i opłakiwać przeszłość tak, że już nie słyszał słów Boga.

Ale gdy przebiegając smutną swą historyę, przyszedł do tego miejsca, gdzie spojrzał nań Chrystus na śmierć skazany, wtedy Jezus, nie mówiąc głosem, odezwał się w sercu jego następującemi słowami:

„Rzekłeś: Aby wierzyć w życie wieczne, muszę ujrzeć Jezusa zmartwychwstałego. I otóż, Barabaszu, umarłem dla ciebie i powstałem z martwych.

Rzekłeś: Jeżeli jest Synem Bożym, to musi być tak potężnym, iżby odpuścił grzechy Barabasza. I otóż, Barabaszu, umierając zamiast ciebie, odkupiłem wszystkie twe zbrodnie.

„Barabaszu, czy chcesz mnie umiłować?“

Natychmiast powstał i jednym skokiem rzucił się do nóg Chrystusa.

Poruszenie wielkie powstało w zgromadzeniu; wszyscy powstali i spoglądając po sobie, jedni drugich wzrokiem pytali. Jezus przy drzwiach zamkniętych zniknął z pośród nich, a nikt nie wiedział, jakim sposobem uszedł im z przed oczu.

Wtenczas Piotr zabrał głos i dzięki uczynił Bogu za udzielenie mu mocy, jaką obdarzony został.

I Barabasz nie mogąc się dłużej wstrzymać, wyrwał się z rąk uczniów, którzy go otoczyli i klękając przed Piotrem, rzekł:

— W imię Jezusa Nazareńskiego przebacz Barabaszowi.

— To Barabasz! — zawołali wierni.

— Opłakuje on swe zbrodnie — odezwali się dwaj uczniowie, i ukrył nas przed wściekłością żydów.

— Jezus przebaczył łotrowi, rzekł Jan szepcząc Piotrowi do ucha.

Wtenczas rzekł Piotr:

— Barabaszu, któregobym chciał był zabić, gdy cię w try-

umfie niesiono, skoro Jezus przebaczył po raz pierwszy łotrowi, niechaj w imię Jego Piotr po raz pierwszy przebaczy tobie. Ale módl się, aby Pan zatwierdził słowa moje.

* * *

W pięćdziesiąt dni później, płomyki Ducha św. zstąpiły na Apostołów w tym samym wieczerniku i pochłonęły zbrodnie Barabasza, który cały ten czas wytrwał na wspólnej modlitwie z Najśw. Maryą Panną.

RÓŻA SARONU.

W północnej stronie Ziemi świętej w Galilei, tam gdzie wznoszące się od jeziora Genezareth wzgórza, dosięgłszy wierzchołkami góry Tabor, skłaniają się znów ku dołowi i w końcu przechodzą w piękną izraelską dolinę, nad brzegami bystrego górskiego potoku, przechadzało się dwóch żydowskich uczonych.

Strumień huczał, polewając wartkim prądem przybrzeżne oleandry, których pnie i korzenie nurzały się głęboko w wodzie, a ponad nią wznosiły się tylko pełne różowego kwiecia korony.

Deszcz padający przez kilka dni w Galilei, zasilił wszystkie potoki i strumienie; płynęły więc pełną falą, pokrywając rosnący obficie papyrus tak, że zaledwie widać było zarysy jego dziwacznie powykręcanych i pokurczonych liści, nie przypominających w niczem owego pięknego wachlarza, w jaki się roztaczają, kiedy je ogrzeją ogniste promienie słońca.

Ziemia w dolinie już obeschła. Odświeżona ulewami, szybko przybrała się w godową szatę, a wystrzelające ponad trawę malwy, liliowce i mak różnobarwny przeważnie czerwony, nadały całej okolicy ten jej tylko właściwy pozór. Tu i owdzie mignęło się stado gazel, albo rój dzikich pszczół zleciał z wyżej położonych lasów oliwnych i z brzękiem ukrył się w koronach palmy daktylowej, lub drzew figowych rosnących na dolinie.

Dwaj hebrajczycy żadnej nie zwracali uwagi na tę piękności. Nie na to byli uczonymi, aby drogi czas marnować na takie drobnostki, przewertowali też wszystkie księgi, jakie posiadała błogosławiona ziemia Kanaan i każdy z nich nauczał w jednej z wyższych szkół, w jakie obfitowały i któremi zasłynęły ziemie koło Jordanu.

Każdy piastował godność rabina, będąc przedstawicielem innej szkoły. Jeden z nich głosił naukę Faryzeuszów, drugi

Saduceuszów. Świątobliwa rozmowa przybierała czasami pozór gwałtownej, wrzaskliwej sprzeczki, co wobec majestatycznej ciszy przyrody, na stoku świętej góry Tabor, której stopy obmywa bystry potok Saronu, czyniło wrażenie dziwnie śmieszne. Potok szumi i bieży coraz szybciej, jak gdyby chciał ich zagłuszyć, lub umknąć co najrychlej od tej wrzawy.

Nagle rozśmiali się uczeni, a widząc, że nikt ich spostrzedz nie może, poklepali się przyjaźnie, poufale po plecach i usiedli na sterczącem tu, nie wiedzieć skąd i dla czego, odłamie skały. Wśród bujnej roślinności utworzył on, jak gdyby pustą nieurodzajną wysepkę, o której boki rozbijał się spieniony potok.

Czas jakiś milczeli, niedługo wszakże. Rozmowa przeszła na pole filozofii, co przecież nie wpłynęło uspokajająco na wody Saronu, biegły one zdwojonem tempem, jak gdyby pilno im było spocząć w objęciach Jordanu.

Roztrząsano wszelkie możliwe sprawy, tego i przyszłego życia, z dwóch przeciwnych sobie punktów widzenia, dwóch wrogich obozów, Faryzeusza i Sadyceusza. Nie miejsce wyświetlać tu, w jakim były stosunku do systematów filozoficznych, które tak bujnie wówczas powstawały na ziemi pięknej Hellady (Grecyi) i stamtąd szerzyły się po całym świecie, nic zresztą na tem nie zależy, a może, kto wie, czy w duszach galilejskich uczonych nie odzywały się prądy naszych czasów...

Poważna zrazu rozprawa zmieniła się po jakimś czasie w gorącą kłótnię.

Sprzeczka mędrców została nagle przerwana rozdzierającym krzykiem dziecięcym. Bawiące się muszlami i kamyczkami na brzegu dziecko, sięgnęło po przepływający owoc granata i wpadło do wody. Spienione fale unosiły broniące się napróżno wątłe ciałko, pogrążając je w swych zimnych objęciach coraz głębiej i głębiej.

Jednocześnie zerwali się obaj rabini, aby topiącemu się u nóg ich dziecku podać zbawczą rękę.

Niestety w ludziach ozwali się mędrcy:

— Nie, nie i pocóż miałbym je ratować? Kto wie, co czeka to dziecię? jakie boleści i utrapienia mają być jego udziałem? Czyliż nie lepiej dla niego, aby ginęło teraz, dopóki duch jego nie zna nic, krom radości i uśmiechów?

— Ależ to okropnie! — krzyknął drugi, składając ręce w pobożnem oburzeniu. — Cóż to za brak miłosierdzia. To wstyd i hańba dla ludzkości! A któż wie, co pięknego, wielkiego, szlachetnego, dokonałoby kiedyś dziecię?

Przyznać trzeba, że przekonawszy się, iż jego słowa tak

gnębiąco podziałały na towarzysza, że napróżno szukał on słów na odparcie tego, co posłyszał, zaczął działać. Postąpił aż na sam brzeg wezbranego strumienia, chwyciwszy się gałęzistej oliwy, która odbiegła swe towarzyszki, rosnące powyżej w zagajniku i stała tu samotna, jak gdyby umyślnie wyrosła na to, aby dać kiedyś podporę uczonemu, rabin usiłował dosięgnąć biedne dziecię. Szlachetny popęd ratowania nieszczęśliwego topielca uniósł go tak daleko, iż nie uważał, że w przybrzeżnym mule, mokną nietylko nowe jego sandały, ale i nogi powyżej kostek.

Co jednak z początku mogło być łatwem, teraz pokazało się niemożliwem do wykonania. Wystraszone dziecko, bezwiednie uchwyciło się krzewu papyrosu i pomimo kurczowego trzymania się tej wiotkiej podpory, posuwało się po śłizkich wodorostach coraz dalej i dalej. Papyrus wymknął się z drobnej dłoni, a dziecko popłynęło z wodą. Pulchne ramię opadło zmęczone, a po chwili i mała główka zniknęła pod wodą...

Dziecko byłoby utonęło na pewno. Szczęściem zjawił się rybak, czy też dozorca pobliskich winnic, a może tylko biedak jakiś, żywiący się owocem dzikich jabłoni, leśnym miodem i korzonkami i mieszkający w jaskiniach, których w różowym piaskowcu jest tam poddostatkiem. Kto on był? mniejsza o to, dość, że nie był to filozof, mędrzec, nie należał do żadnej szkoły, nie był zwolennikiem żadnego systemu.

Zrzuciwszy opończę, bez namysłu, bez zastanowienia, skoczył w wodę, pochwycił dziecię, a trzymając je silnie lewą ręką, prawą walczył ciężko przeciw unoszącemu go prądowi. Zmierzał do miejsca, na którem stali rabini, bo tylko tam brzeg był dogodnym do wyjścia.

Dotarł szczęśliwie i podał dziecko temu, który dotąd trzymał się drzewa oliwnego, lecz kiedy sam chciał stanąć na brzegu, rozmokła ziemia osunęła się pod jego ciężarem. Upadł na wznak, a woda, której nikt nie myślał wydzierać tego nowego łupu, poniosła go i po niejakim czasie wyrzuciła nieopodal, na brzeg skalisty martwe już ciało.

Rabini skorzystali ze sposobności, aby i na ten temat wygłosić mnóstwo zdań i głębokich myśli.

Nareszcie wraz z dzieckiem zabrali się z powrotem do Nazaret,sprzeczając się po drodze, w jakich zasadach dziecko ma być wychowanem. gdyby się ojciec nie znalazł, czy według szkoły Faryzeusza, czy Sadyceusza.

Nagle dziecię poczęło róść w ich oczach i stanął przed nimi mąż z aureolą nad głową, na której kwitnąca cierniowa

korona, tak głęboko wbijała swe kolce, że blade czoło spłynęło krwią. Z otwartej rany w boku, również płynęła krew strumieniem. Mędrcy dość byli biegłymi w księgach i świętych proroctwach, aby wiedzieć, kto się przed nimi objawił.

— Czyć nie miałem słuszności? — z przechwałką zawołał pierwszy. — Nie lepiejże byłoby dla ciebie, Nazareńczyku, abyś był zginął dzisiaj? Zaiste, byłbyś uszedł wszystkich tych bólów, całego tego ogromu cierpień i katuszy, jakie cię wedle proroctw czekają, a które ty poświadczasz takiem objawieniem się przed nami.

— O! wstrzymaj się! Nie bluźnij! — wołał drugi. Czyż razem z nim, nie byłoby zginęło i to, co te bóle i cierpienia przynieść mają!...

Chrystus odwrócił się od nich, poszedł i zatrzymał się nad martwem ciałem ubogiego na duchu człowieka, który nie troszcząc się o to, co jego czyn przyniesie, czy będzie to wskutkach szczęściem, lub nie, poszedł za głosem serca i tylko serca.

Z oczów Chrystusa spływała łza na miejsce, pod którem tak niedawno biło jeszcze serce i z piersi Galilejczyka wykwitnął cudny kwiat zwany „Różą Saronu“.

Rabini powrócili do Nazaret, gdzie pod on czas żyło nieznane jeszcze Boże dzieciątko Maryi, żony ubogiego cieśli, Józefa, z rodu Dawidowego.

Brzegi potoku, płynącego u stóp góry Tabor obfitowały w mnóstwo kwiatów, które nie wyginęły i wtedy, kiedy urodzajna niegdyś Galileja i ziemia Kanaan zamieniły się w pustynię.

Można je zrywać i dziś jeszcze garściami, a zwłaszcza cudowną różę Saronu.

Szlachetny więzień.

W kościele św. Piotra Papież Grzegorz VII. celebrował przed głównym ołtarzem Pasterkę. Uroczysty ton organów rozlegał się po świątyni, mieszając się ze śpiewem pobożnych, co tu i owdzie klęczeli na kamiennej posadzce.

Nagle w przedsionku kościelnym dał się słyszeć głuchy hałas, potem drzwi główne z łoskotem się rozwarły i kilkunastu zbrojnych ludzi wpadło do świątyni. Na czele ich pędził mąż w aksamitnej sukni złotem bramowanej. Gołym mieczem torował sobie drogę pomiędzy pobożnymi, którzy wystraszeni cofnęli się przed nim na stronę. Twarz jego była gniewem wzburzoną, włosy w nieładzie rozrzucone, przypadł

do ołtarza, schwycił celebrującego Papieża za ramię i zwróciwszy się do ludzi zbrojnych za nim idących, rzekł:

— Prowadźcie go do mego domu.

Na ten rozkaz, wnet czterech z silniejszych przyskoczyło do Papieża, ujęło go pod ramiona i z kościoła uprowadziło. Papież Grzegorz nie stawiał najmniejszego oporu.

Na ten czyn tak nieprawy podniosły się w świątyni krzyki rozpaczy. Kobiety płacząc rzuciły się na kolana, mężczyźni rozbiegli się po mieście i uderzyli we wszystkie dzwony na znak trwogi.

Znali oni dobrze tego, co uprowadził Papieża, wiedzieli, iż był to hrabia Cencius, jeden z możniejszych panów włoskich, gdy więc na dźwięk dzwonów wybiegli mieszkańcy, wezwali ich, aby poszli uwięzionego Papieża wyrwać z rąk hrabiego.

W godzinę potem pałac hrabiego Cenciusa stał w oblężeniu, obrona jego była niepodobną; hrabia myślał zrazu o ucieczce, ale i ucieczka była niemożliwą, bo tłumy wdzierały się ze wszystkich stron na mury, wszędzie zatem mógł wroga napotkać. W ostatniej rozpaczy postanowił wypuścić Papieża z więzienia, sądząc, że tym sposobem ułagodzi tłumy.

Zaledwie jednak drzwi więziennej celi otworzył, gdy usłyszał okrzyki radosne rozlegające się na podwórzu. Lud wdarł się już na dziedziniec, struchlały wskoczył do celi, drzwi zaryglował i oparłszy się o ścianę więzienną, nie mówiąc słowa do zdumionego Papieża, wsłuchiwał się z bijącem sercem w hałas rozlegający się na dziedzińcu. Hałas ten stawał się coraz wyraźniejszy, naciśnięta przez lud służba wyznała, gdzie Papież zamknięty, lud wpadł na schody prowadzące do wieżycy. Wrzaski coraz bliżej słyszeć się dawały, wreszcie tuż były za drzwiami, jakaś silna dłoń pchnęła niemi i mimo rygli wysadziła je z zawias. Ciężkie podwoje upadły z łoskotem, wejście stało otworem, stu ludzi wdarło się do celi, sto rąk uzbrojonych w topory podniosło się w jednej chwili nad głową winowajcy, setki ust krzyknęły:

— Śmierć napastnikowi!

Hrabia Cencius oniemiał, nagle usłyszał głos łagodny:

— Kto mnie życzliwy, ten go nie tknie, błagam was, przebaczcie mu.

Hrabia spojrzał i zdumiony sam nie wiedział, czy ma wierzyć własnym oczom. Ten, którego przed chwilą tak śmiertelnie obraził, z którym obszedł się tak nieludzko, stał teraz przed nim z rozkrzyżowanemi rękami i narażając się na nie-

bezpieczeństwo, nie tylko prosił za nim, ale i własnemi piersiami zasłaniał.

Ta wspaniałomyślność szlachetnego więźnia pokonała dumnego panka, padł na kolana i zawołał:

— Jakże mnie, Ojcze, zawstydzasz swą dobrocią!

Papież pochylił się ku niemu i za całą odpowiedź do serca przycisnął.

Wzruszeni tą sceną zbrojni obrońcy Papieża spuścili topory i otoczywszy Papieża prosili, by pod ich opieką opuścił pałac hrabiego. Uczynił zadość ich życzeniu Grzegorz, wyszedł razem z nimi i powrócił do kościoła, gdzie przerwane nabożeństwo dokończył.

Grzegorz VII. Hildebrand był podobno synem ubogiego cieśli. Poświęciwszy się stanowi duchownemu, roku 1073 obrany został Papieżem. Był to człowiek wielkich zdolności, miał umysł czynny i energiczny, a widząc zepsucie szerzące się wówczas w Europie, postanowił ograniczyć władzę monarchów, którzy wówczas godności duchowne sprzedawali. To zrobiło mu wielu nieprzyjaciół, hrabia Cencius postanowił uwięzić Papieża i odebrać mu władzę, lecz wzniosły postępek Grzegorza zawstydził go i odtąd stał się jego przyjacielem.

Sposoby powitania u różnych narodów.

O ile nam się wydają śmiesznymi towarzyskie obyczaje innych narodów, o tyle im śmiesznymi wydają się nasze, a jednak nie od rzeczy będzie zapoznać się z zwyczajami, przyjętymi w różnych krajach i czasach.

We Francyi jeszcze w XVII. wieku kawaler, witając damę, naprzód cofał się w tył, kłaniając się, następnie postępował naprzód, z potrójnym ukłonem, nakoniec schylał się aż do kolan, zawsze z poważną miną.

W Polsce ojcowie nasi uważali za najpierwszy obowiązek grzeczności wycałowanie rąk młodych i starych kobiet, choćby ich było kilkadziesiąt w jednym salonie.

W Anglii oddawna weszło w zwyczaj na powitanie podawanie sobie ręki, bez najmniejszego niemal uścisku. Istnieje tam tylko swoboda pocałunku pomiędzy młodzieżą płci obojej.

W Chinach każda z dziewięciu klas urzędów ma oddzielne przepisy powitania, a tem samem i ukłonów. Biada temu, kto ośmieli się przestąpić przepisy etykiety. Dwaj chińczycy, spotkawszy się z sobą, wznoszą ręce nad głowę, a potem, zni-

żając je stopniowo do ziemi i zginając swą postać, mówią: „Czyście szczęśliwie zjedli swój ryż?“

Japończycy, spotkawszy znakomitą osobę, zdejmują sobie z nogi pantofel i pokazują go jej na znak głębokiego szacunku. Tybetańczycy, witając się, pokazują sobie języki i drapią się w ucho. Na niektórych wyspach Australii mieszkańcy na powitanie pocierają się nosami, a inni posuwają swą grzeczność do tego stopnia, że nogą lub ręką spotkanej osoby, pocierają twarz swoją. Mieszkańcy Sudanu plują w twarz i dłoń prawej ręki przy powitaniu swych najlepszych przyjaciół. W południowej Afryce krajowiec, spotkawszy przyjaciela, pada na ziemię i uderza się po brzuchu. W Monomatapa, skoro król kichnie, asystujący wydają wielki okrzyk gardłowy, powtarzany następnie przez wszystkich mieszkańców królewskiego pałacu. W Sanaarze, przy tej samej okazyi, gwardya przyboczna najpierw składa życzenia, a następnie, odwróciwszy się tyłem do władcy. uderza się pięściami w łydki.

Arabowie przy powitaniu podnoszą prawą rękę nad kolana, a następnie przykładają ją do podbródka i czoła, składając jednocześnie życzenie „dobrego rana“. W innych miejscach na Wschodzie za największy znak uszanowania dla starców uważa się dotknięcie ich brody ręką.

U nas przyjęty został zwyczaj podawania na powitanie ręki, zdjęcie kapelusza lub lekkie kiwnięcie głową, a tylko przy spotkaniu się z serdecznymi przyjaciółmi całujemy się w twarz, kobiety zaś i rodziców w rękę.

POWIETRZE.

(Obraz z podań i pieśni ludu).

Powietrze, pomór straszliwy, od wieków Ruś i Polskę niszczył, w każdem niemal stuleciu powtarzając swoje klęski, i to nie po razu. — Kraków, Warszawa, Poznań, Lwów, miasta ruskie: Wilno i cała Litwa ze Żmudzią doznawały okropnych ciosów. Nieraz wymierały nietylko sioła wiejskie, ale i miasta całe. Nie dziw przeto, że starożytne podania o powietrzu i dżumie, dotąd są przechowane, bo klęski zgubne odnawiały je w pamieci ludu. [1])

---

[1]) Ostatnią tego rodzaju była *cholera* r. 1831. Ruś powtarzała o niej stare podania, wyobrażając sobie tę zarazę w postaci niewiasty i ztąd powstało nowe u ludu ruskiego przysłowie, albo raczej przekleństwo: *„Szob tebe cholera ne minuła“*.

Ruś wyobraża sobie morowe powietrze w postaci niewiasty; gdy spotka którego z ludzi, każe się nosić od sioła do sioła; kto ją weźmie na plecy, temu nic nie szkodzi. Na Pokuciu opowiadają sobie, że szlachetny Rusin jeden umyślił własnem życiem ochronić współbraci; spotkał niewiastę zarazy, wziął ją na barki własne, uchwycił silnie rękoma, żeby mu nie uciekła, i rzucił się w głębiznę rzeki. Sam utonął, ale lekka niewiasta, nie zanurzyła się nawet; wszelako przestraszona tą odwagą, poszła w góry, dawszy pokój mieszkańcom doliny.

Ruś tameczna trzy gatunki ziół uważa jako pomocne od morowej zarazy: *Toja*, [1]), *Odolan* i *Bydrycz*. Ztąd przypowieść w czasie powietrza:

Żeby ne Toja i ne Odolan,
Toby hodyło (zaraza) jak pan.
Jak budesz mały Bydrycz,
To ty ne zrobył nycz.

U Serbów zupełnie toż samo istnieje podanie; nazywają je *Kuga*.

„Wyobrażają sobie morowe powietrze jako kobietę w białych szatach, idącą przez wioski. Jeżeli zdybie na drodze człowieka, każe mu się na miejsce, gdzie zechce, zanieść, i siada mu na karku; człowiek ją obnosi bez wszelakiej szkody. Mówią o zarazach, że one mają za morzem swoją krainę i na rozkaz Boga, wychodzą i oznaczaną liczbę umarzają. Morowe powietrze w takiej postaci zagląda do chaty, jeżeli garnki i łyżki nie były pomyte, wtedy je zatruwa“.

W Sławonii lud równie wyobraża sobie powietrze jako złą kobietę i mniema, iż za morzem znajduje się kraj niewiast morowych. „Pan Bóg nasz (mówią) pilnie uważa, gdzie największe panują grzechy i wysyła tam kobietę podobną, z rozkazem sprzątnienia oznaczonej części ludzi“. Powietrze w osobie niewiasty wybiera się w drogę i każe ludziom nieść się na plecach z miejsca na miejsce, wszędzie mór roznosząc, ma jednak być tak lekka, że jej nosiciel żadnego nie czuje ciężaru. Nazywają ją podobnież jak u Serbów Kuga i nie jednę sztukę ryby zabierze z suszarni przez drogę. Mówią, zatem, że Kuga ukradła ryby.

---

[1]) *Toja, Tojęść, Wilczy jad (Aconitum),* ogrodnicy *bernardynem* zowią, lud zaś polski *czarnobylem*. Własności tego ziela narkotyczne uważa lud polski i ruski, za lekarstwo na smutki. Wedle wyobraźni Ukraińców, z *toja* napój zrobiony i spełniony, rozwesela smutnego młodzieńca i pomaga do zapomnienia doznanych cierpień. W Polsce *kalina*, przyłożona do zbolałego serca, uspakaja go zupełnie.

W Polsce słyszeć można opowiadających starych ludzi, że powietrze w postaci niewiasty, w białe szaty przybranej, na wysokim wozie o dwóch kołach, objeżdżało wiejskie osady i ulice miasta. Gdy przed dom który przybyła, pukając zapytywała: „co robicie?“ gdy odpowiedziano:

Nic nie robimy,
Tylko Boga chwalimy,

ponurym dodawało głosem: „chwalcież go na wieki“, i w tym domu zaraza nie panowała. Gdy wieczorem gdzie przybyło, a na zapytanie: „czy śpicie?“ odpowiadano: „śpiemy“, — wtedy rzekło; „śpijcież na wieki!“ i całe wymierało domostwo.

Na Litwie podobne istnieją wyobrażenia. Powietrze jako morowa dziewica, w białych szatach, olbrzymiego wzrostu, trzymając w ręku skrwawioną chustę; gdzie nią powieje, tam wszystko wymiera. Adam Mickiewicz przytacza starożytne litewskie podanie. [1])

„We wsi zjawiła się morowa dziewica i według zwyczaju przez drzwi lub okno, wsuwając rękę i powiewając czerwoną chustką, rozsiewała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali się warownie, ale głód i inne potrzeby wkrótce zmusiły do zaniedbania takowych środków ostrożności; wszyscy więc czekali śmierci. Pewien szlachcic, lubo dostatecznie opatrzony w żywność i mogący najdłużej wytrzymać to dziwne oblężenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich; wziął szablę Zygmuntowską, na której było imię Jezus, imię Marya, i tak uzbrojony, otworzył okno domu. Szlachcic jednym zamachem uciął straszydłu rękę i chustkę zdobył; umarł wprawdzie i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd nigdy we wsi nieznano morowego powietrza. Chustka owa miała być zachowaną w kościele jakiegoś miasteczka“.

Za ochronicielkę zbawienną od morowej zarazy była w Polsce święta Rozalia, patronka sycylijska, której część relikwii złożona w Krakowie w kościele świętej Barbary. Do niej lud i szlachta, nieszczęściem obarczeni, wznosili swoje modły. Pieśń, którą zamieszczamy, w prostocie swojej maluje wymownie całą okropność tej klęski:

Rozalio pustelnico!
Chrystusa oblubienico!
Do Ciebie się uciekamy,
Ratunku Twego żądamy.

---

[1]) Przypisy do Wallenroda.

Ratowałaś Sycylią,
Ratuj także Polonią!
Od powietrza morowego
I przypadku gwałtownego!

Oto powietrze morduje,
Nie jeden w zdrowiu szwankuje;
Pożera śmierć nieużyta
I słowa się nie dopyta.

Miasteczka, wsi zakowują,
Drzewem i strażą wartują;
„Nie przystępuj! wara tobie!
Niebezpieczno o tej dobie".

Palą domostwa, strzelają,
Zarażonych wyłączają;
W polach, w budach ich zabawa;
Niewczas, zimno, szczupła strawa:

Jeden się drugiego chroni,
Daleko od niego stroni;
Nawet kochany przyjaciel,
W takim razie nieprzyjaciel.

Chodzą po zapłociu, krzyczą,
A prawie co z gardła ryczą:
„Wynieś! podaj sztukę chleba!
Będziesz miał zapłatę z nieba".

Strachem wielkim zatrwożeni,
Głodem i nędzą ściśnieni,
Jako bydło umierają,
W polach, w lasach się tułają;

Snać i pogrzebu nie mają,
Ciała zwierze pożerają;
Alboli też osękami,
Ciągną w dół także żerdziami. [1])

Jakie serce przyjacielów,
Pobożnych obywatelów;
Patrzą na takie szarpanie,
Ciała, członków rozrywanie!

A choć ciało na to przyjdzie,
O duszę strach wieczny idzie;
Bo bez świętych Sakramentów,
Schodzi wiele tych momentów;

Spowiedzi napominania,
Ktoby czynił rozwiązania,
Na onę drogę daleką,
Nie masz ktoby żegnał ręką!

---

[1]) Było zwyczajem, że dom, w którym się zaraza ukazała, zamykano i obstawiano strażą; żywność podawano na długich żerdziach, lub sami mieszkańcy zarażonego domu ciągnęli je okutemi osękami.

Ani świecy, ni passyi,
Ani żadnej aspersyi;
Chryste Jezu racz być z niemi,
By nie byli potępieni!

Przyczyna Panny Maryi,
Także świętej Rozalii;
Niech nas od powietrza broni,
Od gniewu Twego zasłoni.

Amen! z płaczem rzeczmy wszyscy,
Pomarli sąsiedzi bliscy;
Aby się w niebo dostali,
Z Bogiem wiecznie królowali.
Amen. [1])

Posępna nuta tej pieśni, wpośród pomoru i stosu trupów, silne wrażenie na umysłach czyniła. Był to głos drżący wybladłych duchów z wzniesionemi oczyma w niebo, zkąd tylko ratunku i pociechy oczekiwano. Skurczeni bólem, głodem i trwogą, czarnemi usty, z cierpiącej piersi i omdlałego serca, dobywali tonu żałoby, do odśpiewania tej pieśni pogrobnej. Był to hymn jedyny, co uczcił tysiące nagłą śmiercią upadłych, a dla żyjących wróżył śmierć rychłą.

Ale dawniejszym od tej patronki był zwyczaj za ochronę uważany we wszystkich niemal pokoleniach sławiańskich topienia śmierci, dla zabezpieczenia się od morowej zarazy.

Bałwan utkany ze słomy, ze starożytną nazwą bogini sławiańskiej Marzanny (Morena), w nadchodzącą wiosnę ciągniono do rzeki i topiono przy odgłosie wesołych pieśni, w tej nadziei, że gdy raz już śmierć utopią, więcej ona przez klęski zarazy szkodzić nie będzie. O tym obrzędzie w Polsce wspomina Długosz i Miechowita. M. Stryjkowski widział go za swoich czasów w Wielkopolsce i Szląsku. Bielski obszerniej opisuje: „Za mej też jeszcze pamięci był ten obyczaj po wsiach, „iż na białą niedzielę po poście [2]) topili bałwan jeden ubrawszy „snop konopi albo słomy w odzienie człowiecze, który wszystka „wieś prowadziła, gdzie najbliżej było jakie jezioro albo kałuża; „tamże zebrawszy z niego odzienie, wrzucili do wody spie„wając żałobliwie:

„Śmierć się wije po płotu,
„Szukający kłopotu!„ etc.

---

[1]) Kantyczki pieśni nabożnych.

[2]) Była to niedziela środopostna, zwana inaczej *czarna*, jako śmierci poświęcona. Lud dotąd w przysłowiu zachował jej pamięć: „*Wygląda jak czarna niedziela*“, na człowieka lub ciemnej cery, alboli też śmiertelnej bladości.

„Potem co najprędzej do domu od tego miejsca bieżeli, „a który, abo która się natenczas powaliła, abo powalił, wróżbę „tę mieli, iż tego roku umrze“.

Sławianie, pod panowaniem Niemców, wynosili podobnego bałwana ze wsi, który śmierć wyobrażał, palili go, lub wrzucali w rzekę, śpiewając pieśni na pochwałę lata. W Czechach śpiewają przy takowym obrzędzie:

Giż nesem smrt ze wsi,	Już niesiemy śmierć ze wsi,
Nowe léto do wsi,	Nowe lato do wsi!
Witaj léto ljbezne	Witaj lato lube,
Objljcko zelené. [1])	Witaj zboże zielone.

Po utopieniu zaś nucą:

Smrt plyne po wode
Nowe léto k'nam gede. [2])

W bolesławskim kraju wesołość ośpiewują, że wyniesiono śmierć ze wsi, a nowe lato do wsi.

Smrt nesem ze wsi,
Nowe léte do wsi;
Budto pani weseli.

Takowy zwyczaj ciągle się zachowuje u ludu, lubo coraz rzadszy. Rusini województwa podlaskiego przechowali go dotąd; jeszcze gdzieniegdzie znajdujemy go w województwach lubelskiem i krakowskiem. Tyle wieków upłynęło, a przecież i w naszym czasie, wody Wisły, Bugu i Narwi, połykają bałwany śmierci i są świadkami starożytnego obrzędu, który od tak straszliwej klęski, jaką była morowa niewiasta, miał biednych Sławian ochronić!

Z pism K. W. Wójcickiego.

ZAGORZENIE.

Zagorzenie należy do wypadków będących najczęściej skutkiem nieostrożności, a jednak dość często między ludźmi się wydarzających. Przyczyną bywa zepsute powietrze, przepełnione gazem niezdolnym do oddychania (czadem), co ma najczęściej miejsce w izbie zamkniętej, przy zawczesnem zatyakniu rur idących od pieców i kominów; gdy na ognisku pozostaje jeszcze węgiel kamienny lub drzewo należycie niewypalone.

---

[1]) *Obilna*. bogini zboża
[2]) Zbiór pieśni czeskich, Fr. Czelakowski, T. I.

Osoba znajdująca się podówczas w takowem miejscu, zaczyna doznawać naprzód zawrotu głowy, pewnego rodzaju odurzenia, podobnie jak gdyby była pijaną; później pulsa przestają uderzać, w końcu naraz bezwładnie straciwszy przytomność, upada. Cera tak zemdlonego staje się nader bladą, twarz i końce palców u ręki i nóg nabierają często barwy sino-fioletowej, oddychanie słabieje, a nawet i ustaje zupełnie.

Przypadłości wspomniane pochodzą z tego, iż krew, która dochodząc do płuc w celu odświeżenia się wciąganem przez usta i otwory nosa powietrzem, nie znajduje go już zdolnem do oddychania, a tem samem zamiast stać się pięknie czerwoną, pozostaje czarną, niezdatną wcale do życia.

Śmierć jednak nie następuje tu tak szybko, jakby się niejednemu zdawało, gdyż serce, którego ruchy na pozór uczuć się nie dają, nie przestaje jednak utrzymywać życia, nawet i przez kilka godzin pozornej śmierci. Dla tej przyczyny nigdy przed czasem rozpaczać ani opuszczać chorego nie należy; przeciwnie nie zrażać się natychmiastowem niepowodzeniem, i ratować według podanych przepisów, dopóki lekarz wezwany nie przybędzie.

Gdy w tego rodzaju wypadkach, każdy znajdujący się przy chorym, miejsce lekarza, w razie zastąpić jest w stanie, podajemy wam tu pokrótce sposoby ratowania czadem dotkniętych osób.

Starać się należy naprzód wynieść chorego z miejsca, gdzie zagorzał, na wolne powietrze lub do izby obszernej, niezbyt ogrzanej, bez zaduchu; w razie zaś niemożności, odświeżyć powietrze przez otworzenie drzwi lub okien.

Suknie należy porozpinać lub porozwiązywać, by nie przeszkodzić poruszeniom klatki piersiowej i nie zatrzymywać tym sposobem obiegu krwi. — Najlepiej chorego aż do koszuli rozebrać. Następnie kładzie go się w łóżko więcej twarde, niż ogrzane, z głową wysoko, z kadłubem cokolwiek wzniesionym. Na głowie kładzie się chusty w kilkoro zwinięte, i jak najczęściej w wodzie zimnej z octem i solą maczane. Twarz i piersi skrapiać i nacierać należy za pomocą rąk wodą, octem, wódką kolońską lub kamforową; obtarłszy następnie takowe suchą bielizną, na nowo jak pierwej skrapiać i nacierać. Nogi, grzbiet i ręce zwykłą od sukien pocierać szczotką.

Po kwadransie, gdy chory nie okazuje jeszcze znaków polepszenia, należy dać mu jednę lub dwie lewatywy z wody, z kilkoma łyżkami soli kuchennej pomieszanej. Drażni się następnie otwory nosa, przykładając do nich flaszkę z mocnym

octem, a jedno z najlepszych z amoniakiem płynnym. — W razie gdy chory przytomności odzyskać nie może, położyć należy na obie łydki na 10 do 15 minut, synapizm z tartego chrzanu lub też z tłuczonej gorczycy z trochą octu albo ciepłej wody na ciasto zarobionej.

Jeżeli, mimo użycia dopiero wspomnianych środków, oddech chorego jest ciężki, lub też nie okazuje się jeszcze, uciec się w końcu potrzeba do sztucznego wdychania powietrza w płuca chorego. Dutkę z pióra zwykłego, twardą, z obu stron uciętą, wkłada się jednym końcem między wargi i zęby chorego, drugi zaś koniec bierze się w nasze usta, a zatknąwszy dwoma palcami otwory nosa zemdlonej osoby dla przeszkodzenia powrotowi wdychanego powietrza, wdmuchuje się go zwolna, i z lekkimi przestankami. W czasie tej czynności, należy osobę mającą się ratować, na jeden i drugi bok nachylać i po tychże lekko ręką pocierać. To, co do pierwszego ratunku; co dalej, to już należy do lekarza, któremu, jeżeli podane tu wskazania z dokładnością były wykonane, nie pozostanie nic więcej, jak tylko być świadkiem przychodzenia do przytomności chorego, lub też dopełnić ratunku puszczeniem krwi, środkiem wymiotnym, lub przeczyszczającym.

Zachowajcie starannie w pamięci, kochani czytelnicy, to cośmy wam dopiero opowiedzieli. Strzeżcie się zatykać rur od kominów lub pieców, dopóki tylko na ognisku ponad zarzewiem węgla, ujrzycie płomyk niebieski, gdyż on to właśnie jest owym nieprzyjacielem tak zręcznym a srogim, iż chwyta za gardło i dusi w chwili, kiedy się tego jak najmniej spodziewać będziecie.

Na ostrożności nikt nigdy źle nie wyszedł, lepiej zatem zrobicie, gdy zatykać będziecie piece lub kominy wtedy dopiero, gdy drzewo spalone na węgiel, tylko cokolwiek tlić się będzie, a węgiel kamienny, gdy już zupełnie w popiół się obróci. Jeżeli zaś was kiedy wchodząc do izby, lub innego zamkniętego miejsca, zaleci zapach czadu, lub duszącego powietrza; przedtem, zanim tam wstąpicie, weźcie zapaloną świecę, a niosąc przed sobą, obniżcie ją aż do ziemi; a gdy płomień tak postawionej świecy zmniejszy się lub zgaśnie, nie wchodźcie pierwej, póki to miejsce, otworzeniem drzwi lub okien dokładnie z zaduchu oczyszczonem nie będzie.

Co piszą o Boerach?

O Boerach, którzy teraz bronią swej ojczyzny przeciw najezdniczym Anglikom, tak pisze pewien oficer francuski, który

przed kilku laty znikł z Francyi, a teraz jest jenerałem u Boerów.

„W obozie Boerów panuje dziwna cisza — naokoło niego zaś pełno wozów, a niedaleko pasą się na wolnem powietrzu stada bydła. Niema tu hałasu, niema trąbek i bębnów, służbę obozową spełniają kolejno małe grupy, jedne o zmierzchu do świtu, drugie od wschodu do zachodu słońca.

Namiot jenerała albo komendanta służy dla każdego, kto chce z niego korzystać. Niema kar ani nagród, niema bójek ni przymusu; wszystko spełnia się z własnej woli.

Obozy Boerów mają swą służbę telegraficzną i pocztową, jak obozy wojsk europejskich, mają różne udoskonalone przyrządy elektryczne i ulepszone ambulanse. Przedewszystkiem jednak zasługuje na uwagę duch, jaki ożywia Boerów. Unosi się nad nimi powiew religii i wszystko odnoszą Boerzy do Boga, i Jemu oddali swą ojczyznę. Jenerał, któremu składają życzenia, odpowiada: „Bóg pozwolił“.

Względem obcych i jeńców zachowują Boerzy wszelką delikatność i miłosierdzie. Gdy bitwa skończona, nie ścigają nieprzyjaciela, a oblegając miasto Ladysmith, pozwolił jenerał Joubert kobietom i dzieciom opuścić to miasto.

Walczą z całem poświęceniem za swą ojczyznę transwaalską; ani deszcz ani upał nie odstrasza ich od czuwania wśród złomów skał, wśród zielsk zalanych wodą. Żołnierze to i rycerze z krwi i kości, o silnej i stanowczej woli.

Przypominają całkiem swych przodków, pochodzących z rodów szlacheckich. Przodkowie ich to Holendrzy, którzy przyjąwszy wiarę luterską, zmuszeni byli przed 200 laty opuścić swą ojczyznę i wywędrowali do Afryki, gdzie sobie założyli nową ojczyznę, którą im dziś Anglicy chcą odebrać z chciwości dla złota i dyamentów, w których kopalnie obfituje kraj Boerów — Transwaal“.

FIGLE i ŻARTY.

Po powrocie z wód. — Tak, pani, ozdrowiałem i odmłodniałem.
— Proszę, to nie do uwierzenia. Ale jak też pan wyłysiał!
— Przysłowie powiada: głupia głowa nie łysieje.
— Właśnie dlatego tak się dziwię.

Najposłuszniejszy. Pan pyta się chłopczyka: Ile rodzeństwa jest u was?
Chłopczyk: Troje.
Pan: A kto najwięcej słucha mamy?
Chłopczyk: Tatuś.